



Na zdjęciu: Tartuffe — Marian Szczerki i Orgon — Stefan Winter.

**Z**OKAZJI JUBILEUSZU ZELWEROWICZA w „Świętoszku” Boy napisał: „Zatem stuprocentowy Moller zawitał na naszą scenę pod najlepszymi auspicjami. Przyjmijcież go jak należy i chodźcie, do cholery ciężkiej, do teatru; wiercie mi, ja bym was nie namawiał, gdybym nie był pewny, że się ubawicie za swoje pieniądze. Zażadno szanują swój podpis”.

#### SZCZĘŚLIWY BOY!

Zażadno szanują swój podpis, żeby namawiać kogokolwiek do chodzenia na „Świętoszka” do Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Gra się tam bowiem Mollera też co prawda z okazji jubileuszu [300-lecia jego śmierci], ale gra nijako i nudno, łamiąc przy tym pazury genialnemu Francuzowi, który przed 300 i 9 laty, napisał tę światoburczą komedię, ścignął na siebie nienawiść możnych dworskiego otoczenia Ludwika XIV.

Są to już ostatnie lata jego życia i arcydzieła syją się niczym z rogu obfitości: 1664 — „Tartuffe”, 1665 — „Don Juan” i 1666 — „Mizantrop”. Kolejność ta nie wynika z przypadku i wszystkie drogi właściwie wiodą do owej słynnej inscenizacji trzech aktów „Tartuffe’a”, odegranych w 1664 roku przez molierowską trupę w Wersalu, które wywoływały lawinę protestów wszystkich świętoszków, przyczajonych za królewskim fotelem.

Zbyt byli potężni, by nie zamknąć ust Mollerowi; pisze zatem „Don Juana” i pisze nie tylko po to, aby w ogóle mieć własną sztukę w repertuarze własnego teatru, ale także i dla tej końcowej wspaniałej erupcji Don Juanowskiego gniewu przeciw zakłamaniu i obłudzie. Toteż znowu się naraża i „Don Juan” dzieli los „Tartuffe’a”, jako sztuka zakazana na scenie. Wtedy rozżalenie Mollera, gniew na potęgę obłudników, na marność świata, który miał zabawić swoim talentem, a który zabawiając, chciał oczyścić z przywar, popchnie go do stworzenia arcydzieła arcydzieł — „Mizantropa”. I będzie w nim Alcestem — samotnikiem zniechęconym, sztychającym z siebie i otoczenia, bluźniącym swoje gorzkie prawdy przeciw wszystkiemu i wszystkim, będąc Alcestem przegrywającym. A w międzyczasie, odwołując się do króla o zniesienie zakazu grania publicznie „Tartuffe’a”, tego króla, który miał do swego nadwornego dramaturga szczerą sympatię, napisze dwa słynne zdania:

„Najstraszliwszy cios zadaje się ułomnościom, wystawiając je na szyderstwo świata”.

„Człowiek godzi się na to, iż może być złym, ale nikt nie godzi się być śmiesznym”.

Wiedział, że śmieszność zabija, a szyderstwo rani. Z tej wiedzy budował koronkowe cacka sceniczne, ubrane w śmiech beztroski na pozór, ale zawsze będący parawanem, za którym rozdziewa się z kolorowych szat prawda o współczesnych i staje w całej brzydocie; groźnej brzydocie. Śmiech, często rodowodem ze starofrancuskiej farsy, a więc gruby i szydliwy, był przykrywką dla tego tygla komediowego, w którym gotowała się pasja człowieka widzącego ostro epokę, ba, podejrzewać można — przeczuwającego, że przybraną w perukę głowę Ludwika XVI odetnie nóż gilotyny w takt rozjuszonych krzyków zbuntowanego mieszczaństwa. Jego „Mieszczanin szlachcicem” jest jeszcze pogodną komedią obyczajową, ale już jest komedią, gdzie słychać pierwsze pomruki niezadowolenia. W „Tartuffie” rozprawia się z hipokryzją; arcybiskup Paryża zakazujący publicznego grania „Tartuffe’a”, słusznie jednak przeczuwając, że nie tylko z hipokryzją świeckich świętoszków, ale z dwulicnością kleru, z przebiegłością jezuitów, z purytanizmem jansenistów.

Moller będzie się bronił zaciekle przeciw takiej interpretacji; historia wykazała, że musiał po prostu kłamać, by w ogóle dostać się na paryską scenę po 5-letnich zacieklitych bojach i... zaledwie na 4 lata przed śmiercią.

Gdy zaś się na nią dostanie już — „Świętoszka” grać będą

nieprzerwanie i na długo po jego śmierci. A bez mała półtora wieku później jeszcze Napoleon powie, że dobrze się stało, iż przeszedł on przez cenzurę Ludwika XIV, bo sam miałby wątpliwości, czy to grać można...

Jest „Tartuffe” skonstruowany osobliwie, bo dopiero w III akcie zjawia się tytułowa postać, a wraz z nią zaczyna grać maciepie rekwizyty, zadające kłam poprzednim dwóm aktom, w których Orgon przygotowuje widza na przyjęcie „świętej” osoby.

„Piers przysłonił, co sterczy nieskromnie” — zakrzyknie najpierw Tartuffe nad Doryną i na sterczącej piersi zawiesi chusteczki; w chwili potem wyjmie koronkową szmatkę z rąk Elmiry i będzie mniósł lubieżnie gładką śliskość jedwabiu, spływającego z jej kolan... Zagrają więc nawet dwie chusteczki — dwa drobiazgi i więcej powiedzą o podwójnym obliczu świętoszka niż całe tyrady słów, demaskujące obłudnika.

## PO CO GRA SIĘ ARCYDZIEŁA

Zagrają pod warunkiem, że Tartuffe nie zjawia się przed nim z dwoma czerwonymi kółkami karykaturalnych rumieńców a'la Pantalone. Ze szczególną śmiesznie sterczących włosów, z gapiowatością chłopka - roztropka na obliczu. Taki Tartuffe, jak w przypowieści dla dzieci, w

której czarownicy mają szpiczaste nosy, a Jasie-gapy słomianą grzywkę — podważa sens molierowskiego szyderstwa, udaremnia molierowską intrygę, przekreśla tę zabawną i kiedyś gorszącą otoczenie scenę Orgona podłuchującego pod stołem. A takiego Tartuffe'a zagrał Marian Szczerki. Karykaturalnie przerysowującego pochlebstwo, pokorę, pożądanie. I trzeba mu było za partnera niepospolitego wręcz głupca — Orgona, safandulę rodem z „Pana Jowińskiego”, nie zaś z komedii obyczajowej, komedii charakterów i komedii satyryczno - społecznej, jaką stworzył w „Świętoszku” Moller, by mimo widocznej karykaturalności ów wytrwał w zaślepieniu aż do IV aktu włącznie. Reżyser spektaklu Stefan Winter grający Orgona wpadał czasem w ów narzucony mu przez partnera schemat i był bardziej starym ramolem ze szlacheckiego dworku niż wykrywaniem mieszczańskim, który w finale zarzyczy jak ranny koń, przerażony ponurą wiza ubóstwa.

Ze „Świętoszka” na rzeszowskiej scenie została więc tylko intryga, dość ślamazarnie tocząca się w rytmie trzynastozgłoskowca, pełna dynamizmu rola Doryny Bolesławy Fafińskiej, zdecydowanie wyróżniającej się w przedstawieniu; jakaś parafraza na molierowski temat ani nikogo nie kłująca, ani niczego nie zwalczająca. A jest on w końcu komedia, która dziś, kiedy tak bardzo walczymy o uczciwość, o moralną odnowę społeczeństwa — dalej mogłaby stanowić sceniczny głos w wielkiej dyskusji nad cynizmem postaw i społeczną obłudą. Toteż szczerze żal, że teatr zmarnował okazję, że poza rubasznym humorem sytuacyjnym niczego nie chciał czy nie umiał dostrzec w „Tartuffie”, że zagrał tego Mollera jak starą ramotę, ramotę na jubileusz.

Nie ma Moller szczęścia na rzeszowskiej scenie: grany przed paru laty „Don Juan” także rozmiął się z intencjami autora. Ale bo też z arcydziełami często bywa, że stają się popychadkami teatralnymi.

Przed bez mała pół wiekiem Boy napisał o Mollerze: „Nazwisko jego to konwencjonalny obowiązek w bilansie „wielkiego repertuaru”; czasem rola dla aktora, czasem pretekst dla reżysera, popis dla dekoratora. Moller! O Mollera nikt się przy tym nie troszczy — niech będzie w ogóle kontent, że się go jeszcze wywleka z rupieciarni teatru”.

Po bez mała pół wieku ma się ochotę tylko rzecz wytworzyć...

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

TEATR IM. W. SIEMASZKOWEJ: MOLLER — ŚWIĘTOSZEK”. Reżyseria: Stefan Winter. Asyst. reżysera: Jerzy Mędrkiewicz. Scenografia: Irena Perkowska. Osoby: Pani Pernelle — Zofia Gorczyńska, Orgon — Stefan Winter, Elmira — Barbara Bardzka, Damis — Feliks Woźnik, Marianna — Teresa Lisowska, Walery — Krzysztof Stachowski, Kleant — Jerzy Mędrkiewicz, Tartuffe — Marian Szczerki i Wincenty Zawirski, Doryna — Bolesława Fafińska i Elżbieta Lityńska, Pan Zgoda — Klemens Myczkowski, Oficer — Antoni Kossowski. Premiera — 24 lutego 1973 roku.